



Wojciech Kajtoch

Doba

Wiersze i proza

Wojciech Kajtoch

Doba

Wiersze i proza

Kraków 2003

Copyright by: Wojciech Kajtoch, Kraków 2003

Fotografie na okładce: Joanna Plichta

Poeta i świat – język zdziwienia (Postłowie): Andrzej Kaliszewski

Redakcja: Jacek Tomiak

Fotografia autora: archiwum własne

ISBN: 83-89186-52-7

Wyd. I, Format B6, nakład 300 egz.

Printed in Poland

Wydawnictwo i Drukarnia

Towarzystwa Słowaków w Polsce

ul. św. Filipa 7, 31-150 Kraków

tel./fax: (0048 12) 634-11-27

Rodzicom

Poeta i świat

Rodzi się dziecko.
Z atlasowych wnętrz
dosięga światła rzutem delfina.
Znów zwyciężyło życie śmierć,
znowu z nas wszystkich zmazana jest wina.

Poeta dziwi się światu.

Rodzi się miłość.
Patrzy w swe ciało
przejrzyste i mleczne młoda dziewczyna,
jej biodra, piersi zanuca pieśń.
Zwycięża prawda i Pierwsza Przyczyna.

Poeta dziwi się światu.

Umiera człowiek.
Nic się nie rodzi,
jesień po ścieżce swe liście miecie.
Z truchła nie wstają skrzydła motyla,
wiecznością się staje ostatnia chwila.

I świat się dziwi poecie.

DOBA

„...z popielnika iskiereczka mruga...”

Mrugała, mrugała... nie zgasła. Urodził się więc płomyczek. Z pieca wyskoczył. Co stało się później – nie wiem. Może przykucnął w kieszeni płaszcza? Skrył się w neseserze?

W każdym razie musiałem go tu przynieść.

Bo jak inaczej błąkałby się teraz po Twoich wargach i pytał, czy umiem jeszcze kochać?

Uczennica

Stoi
Patrząc w przestrzenie –

Ze skrzydełkiem włosów nad czołem,
Z osiemnastoletnim pocałunkiem na wargach,
W idealnej jedności ducha i ciała.

Skinie ręką
i spadnie ulewa gwiazd.

Komplement

A w Twoich oczach wszystkie światła miasta.
A w Twych źrenicach gwar balowej sali,
ciepło, okrągłość – pulsujące dreszczem
i brązowy ból.

A w Twoich rękach, gdy wznosisz je w górę
blask się ukrywa antycznej amfory
pełnej gron winnych,
płomienistych kół...

Migoczesz, znikasz... Zwinną, ostrą stopą
kreślisz kabałę tajemnic podłogi
Ewo lub Mario (może Magdaleno?).
Mój fajerwerku niespełnień.

Przestroga tankietce

Znam zwiewne i piękne kobiety. Bywają też inne –
ciepłe i miękkie. Są jednak i panie o subtelnej elegancji
wozów bojowych: z dumą obnoszą wieżyczki kaemów,
roztaczają uroki pancerza. Kusi interesujący mrok
strzelniczych szczelin. Jeśli spojrzeć z bliska...

Ale nie śmieję podejść! – Zmieli gąsienicą.
Nie uciekaj również – ryknie działem ust!

Świeca

To jasne, że nie jest z gliny.
A jednak, budowana moimi dłońmi
zmienia wymiary
i kształty.

Już nie przytula się do ramienia.
Traci ufność i zbiera, przepoczwarza się
w ciepło
i dobro.

Powstaje

i (z cicha krzyżąc) sieje wokoło łzami stearyny,
nim się przemieni
w ból,
światło,
słońce.

I sen.

Umarłe miłości

Moje umarłe miłości
mają kolor mosiądzu
i kolor miedziany
mahoniów i brązów.

Gdzie jesteś
O Pierwsza, Złotowłosa.
(To znaczy: miałaś być pierwsza, byłaś bodaj piąta...)
Z wyroków losu i mojej głupoty – musiałaś odejść.
Potem jakbyś zmarła,
Bo kiedy ostatnio spotkałem Cię na ulicy,
Jak róża ciastem –
tak wianuszkami dzieci i „prawdziwego życia” otoczoną,
Minąłem Cię obojętnie.

Gdzie jesteś
Pierwsza Królowo i Galateo.
Rzeźbiłem Cię tak nieumiejętnie – Frankenstein młody,
Co chwila raniąc Twoje ciało.
A jednak nie zabiłem ... i w końcu
Zostałem „uczniem czarnoksiężnika” –
Stworzyłem Cię nie dla siebie.
Więc także umarłem.
Jeśli nie ja – to życie bez grzechu.

I Ty
Byłaś w pewien sposób pierwsza,
Mała czarnulko,
Eksperymentatorko niestrudzona.
Wszak dzięki tobie pobiliem jakiś rekord,
Zostając, jak – licząc swe przygody – rzekłś:
„Szesnastym po sobie samym”.
O akuszerko sportowego ducha!
Miłości swych walorów pewnej.

Moje dawne miłości
mają kolor mosiądzu,
gamę kolorów złamanych
trumiennego portretu.

Poezja

Pijany żołnierz stanął w drzwiach
i głośno chwalił urodę dziewczyny.
A miała chmurne oczy
i długie, długie nogi.

Kazałem mu pisać dla niej wiersz.
Wyciągnął więc ramiona do niej.
Ale nie dotknął. „Popsuję wszystko...” – mruknął.
Z przedziału wybiegł.

Miłość

Miała być trzymaniem się za ręce,
a później ciemnym, parnym
szepem –
uściskiem końca.

...

Biegnie do mnie mały,
jasnowłosego chłopczyk.
Siedzi mu na ramieniu
figlarna małpka uśmiechu.

Kot i choinka

Co tak błyszczy, migoce i pyszczkiem trąciłem to w locie?

– To bombka, kocie...

Co tak szeleści i wplątało się w pazurek?

– Anielski włos, kotku. Nie skacz w górę.

Co takie zielone, a ugryźć nie mogę?

– To, Mruczku, są szpilki – liście choinkowe.

Co teraz przyjemnie ogrzewa mój nosek?

– Maleńka lampeczka. Odejdź stąd proszę.

Odejdź, bo drzewko nie ustawione!

Miauuu! Coś przygniotło mi ogonek!!

Miłość II

Dwa gołębie:

Pierwszy nie odchodzi; drepce wokół, trąca dziobkiem.

Drugi leży w kałuży krwi.

Kolejny dzień

Od rana krzątał się, szukał czegoś zaaferowany. Chwilami dziwił się i kiwał głową. Od czasu do czasu tajemniczo postukiwał miską, wyciągał ją po datek, później znów na coś czekał...

Wieczorem przyszli po czynsz. Więc dzień mnie oszukał. Po prostu opluł... Jak szympans, który w zoo – zawiódł się na widzach.

Poeta w sklepie obuwniczym

Stoją czółenka, indiańskie canoe
w dół rzek płynące, gdzie wodospady...
Czółenka chustę tkające,
co rozum otula jak owoc.

Także sandalki. Natury podwójnej:
to – jak krok nimfy – prostej i dumnej,
to jak więzienie, gdzie zza krat krzyczą
małe paluszki.

I półbuciki klasztorne, błyszczące
albo toporne – anarchizujące.

Narodziny demokracji

(fraszka)

Hurkotał hebel, trzęsły się mury;
Pląkały, spadały pozłociste wióry,
lecz rósł kształt Panny z pochodnią.

I w dniu końca pracy rozległ się szczęk
– w dniu Jej narodzin rozległ się wrzask...

Dziecięciu z gębowej zwisaly dziury:
skrwawiony banknot i palców kiść –
straconych przez mamki dłoń nieostrożną.

marzec 1994

Salon

*Czesławowi Miłoszowi i Zbigniewowi Herbertowi
(każdemu z innego powodu)*

W salonie państwa Bécu
skrzyły się białe suknie
i ranił męskie oczy róż odsloniętych ramion.

Lekko znudzone damy
i panny na wydaniu
słuchały, że Lelewel buntuje głupią młodzież.

W salonie państwa Bécu
nie drżały żyrandole,
dzwoneczki sań wróżyły tylko jutrzejszy kulig.

Lecz przetrwał w czarnych baśniach
i trzepot rzęs zdziwiony
i piorun, który sprawił, że z nocy stał się dzień.

I płynie salon w tańcu,
w skrzywieniu ust kobiecych.
I z blasku burzy pada coraz ciemniejszy cień.

1996

Kołęda diabła

Tam na przypiecku siedzi kot i izba wapnem pobielona,
a na zegarze chłopski but, cholewa jego rozdziawiona.

Po szafach skaczą srebrne pchły, choć blasku izby
nie rozdzielisz,
a z ciemnych strychów leżą sny. Po nocach szukasz
i nie znajdziesz.

Lecz skoczy z pieca stary kot, przypomni sobie czasy chore,
rozdziawi gębę mocniej but, zawyje pieśni marmurowe:

Że Chrystus dzisiaj nam się stał, że Panna Syna porodziła,
a ty człowieku się nie bój, bo prochem jesteś jak gądzina.

I choćbyś myślał sobie dziś, że w żłobie leżysz rozebrany –
to pomyśl później: czy ty wiesz, że Chrystus został
zaprzędany?

Znów ruszył wąsem stary kot i mleko z wąsów
na piec kapie,
rozwinął skrzydła chłopski but i goni zwidy po pułapie.

Zaprasza świętych chłopskich on. Pokoładują wkrótce;
z nocą
wejdzie do izby siwy koń, zadyszcy w twarze siwą mocą...

I ukołysz nas. I nic. Kiełbasa dobrze się uwędzi.
A na kanapie zasiadł Duch i cichuteńko bimber pędzi.

Kąpiel wojskowa

Zgodnie z porządkiem dnia, o wyznaczonej porze do betonowej hali wbiega kompania nagusów. Każdy – z mydłem i płótnem w garści. Śpiewając, pokrzykując, opowiadając dowcipy czekają na puszczenie wody, co też się staje.

Niestety, mieszacz się zepsuł; nie na każdego splywa ciepły płyn. Dysze pryszniców są puste albo nie cieknie co trzeba... i trwa walka o miejsce pod nie zepsutą rurą. Inni, pogodzeni – dygocą pod lodowatym strumieniem lub skaczą w oparach wrzątku. Zależy co im zgotował niechlujny dziekan fakultetu wyjątków i dysharmonii.

Bójki wygasają, tłum cierpliwych wzrasta. I potężnieją dwa chóry. Ci mruczają z rozkoszy, a tamci mamrocą: Dyżurny, włącz jeszcze raz... znów zacznij... zmiłuj się nad nami.

Wieczorne picie herbaty

Dla Justyny Dury

„Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie.” – rzekł Kant, a ja powtarzam, siedząc ze szklanką w ręku, na starej kosiarce. Wpół drogi między chałupą i stodołą. Patrzę w górę... Wtem stało się! Wielki Wóz złamał dyszel, Mars zbladł, Gwiazda Polarna gdzieś znikła. Więc prawo moralne drży, herbata kapie na spodnie.

Mogło być jeszcze gorzej. A gdyby tam w górze zawisł czarny fartuch w grochy? Tak wisiał i czekał na balię?

Stróżowie i ogrodnicy

Obrazek:

Jasnowłosa bobas (loczki)

niepewnie stąpa po kładce.

W dole przepaść, nad nim świetlny płomień,
wielka kokosz; akcent ataku w skrzydłach.

Kiedy brat Albert podniósł z ziemi peta i zapalił,
po prostu zwariował.

Ten orzeł mieć musiał kompetencję smoka!

Duszę z rdzy oczyszczał
chyba ostrą łuską.

Mój stróż-aniół, sądzę, że najczęściej bywa
hybrydą boksera i grajka.

Wszak na osierdziu i krtani wygrywa mi tęskne melodie...

ale gdy świństwo jest duże –
wałę się z nóg.

Samotny i niepewny

Mieszkaniec lotnych piasków
zna tylko widmo Stworzenia
i jeśli róży dotyka,
jest to róża z kamienia.

Jeśli opali go czerwień
to z choinkowych ogni.
Za gałąź sztucznej sośniny
jedynie las sztuczny się modli.

A światło co go dosięgnie
nie będzie oddechem słońca
– strunę słonych kryształów
patyk ciszy potrąca.

Jeremiasz

Motto:

*Przywódcy więc powiedzieli do króla:
„Niech umrze ten człowiek, bo naprawdę
obezwładnia on ręce żołnierzy, którzy pozostali w
tym mieście, i ręce całego ludu, gdy mówi do nich
podobne słowa. Człowiek ten nie szuka przecież
pomyślności dla tego ludu, lecz nieszczęścia”.*

*Krół Sedecjasz odrzekł: „Oto jest w waszych
rękach!”. Nie mógł bowiem król nic uczynić
przeciwko nim. Wzięli więc Jeremiasza i wtręcili
go, spuszczać na linach, do cysterny Malkiasza,
syna królewskiego, która się znajdowała na
dziedzińcu wartowni. W cysternie zaś nie było
wody, lecz błoto; zanurzył się więc Jeremiasz w
błocie.*

(Jer 38, 4-6)

W górze krążek nieba
skrzący srebrem gwiazd.
W dole czarna rzeka,
czarna, gęsta maź.

W górze jasny płomień,
światło, złoty pył.
W dole zgniły chlupot.
Wiesz już, czymżeś był.

W górze tylko kryształ,
słów-diaamentów kurz.
W dole cień rzucony,
śniedź życiowych burz.

Rozmowa z dzieckiem

Jakże ci powiedzieć
mój mały kolego –
ognisko nie stopi
oków Prometeja.

Gdy spojrzą na siebie,
w głębie zimnych oczu,
nie będzie miał tytan
równych z sępem szans.

Żelaza nie spali
i pudło zapalek;
ten ogień wyzwała,
który pełga w nas.

Ale z tym się zgodzę.
Sam dobrze to wiem,
że bursztyn zakwita...
Z nocy wstaje dzień.

Myśli

1 Radykał

Koneser także trójkątów i kólek
(wszak czarna farba na białym tle!)

2 Architektura ogrodowa

Kwiaty zamków tryskające w górę,
Czarne tulipany twierdz.

3 Wspomnienie

Ktoś walnął czas
I zrobił się dołek.

4 Czasem...

Snują się po błocie smętne Raskolnikowy,
człap, człap – gadają miękkie pantofle.

5 Samotność

Zostało zwiędłe jabłko twarzy
i puste oko telefonu.

6 Nowy Pascal

O wysmakowane piękno stalowych bram!
O chłodna elegancjo przestrzeni...

Barska

(dyptyk)

1. Pejzaż nocny

Wieczorem idziesz przed siebie
W ciemne wąwozy ulic
Grymas na klatkach schodowych
Grymas w szeregach okien
Ktoś z tyłu się podkrada
A ty jak mag pradawny
Światła latarni cichych
Przeszukujesz wzrokiem

Znów nagły odgłos kroków
Wzmaga się i zamiera
Bije w plecy ciemnością
Stojącym dęba koniem
Ulice szumią trawą
Zwielokrotniono drzewa
I okna – ptaki nocne
Kłapią dziobami framug

Samochód też skamieniał
Pod zimnym cielskiem stwora
Jaszczury jakieś dyszą
Gdy schylasz się do ziemi
Odziany w skórę szepczesz nieznanie ci
Imiona
Ty który dzisiaj jesteś
Ty który jesteś
Który...

Noc

2. Powrót

Pod martwą godziną
Pół nocy, pół świtu
Zawarczy brama – pies czarny
Przy drodze.
Na wysokości pierwszego piętra,
Z dotknięciem zimnych palców,
Zaciśniesz pięści w kieszeni.
Ściana drżeć zacznie –
Czy szept cichych głosów:
To ty może jesteś?
Tak. Ja.
To dobrze.

Ballada o kości ludzkiej do nikogo nienależącej

Naśladownictwo

Przypędzonych Żydów Niemcy rozstrzelali,
zwalili do rowów, rowy zasypali.

Na górze wyrosły wątlutkie sosenki
i nie było widać ni nogi, ni ręki.

Przeminęły lata. Chłopi glinę brali;
las rozkopywali – kości rozrzucali.

Raz przyszedł nad doły chłopiec z rodzicami.
Nikt ich nie zobaczył – byli całkiem sami.

Chłopiec był ciekawy: patrzył na szkielety
i uczyły go one swej prawdy, niestety.

Chłopiec był odważny: a więc wziął do ręki
leżący pod krzakiem szczątek ludzkiej szczęki.

Chłopiec w końcu dorósł. Przeszły obok zimy,
babie lata ... i piękne dziewczyny.

Ale kość została. Ciągle w nim tkwi – biała,
nieśmiertelna, czysta. Bez drobin ciała.

Sen

Śnił mi się Wiaczesław Baszyrow,
subtelny kazański poeta.

Siedział w norze na Kazimierzu,
klepał emigrancką biedę
i nie pokazał mi dzieci.

Widać, mój sen nie chciał
wierzyć wieściom,
że Sława sprzedaje komputery
i jeździ po Europie.

Zresztą nie wiem,
jak z nim jest.
Ostatni list miałem dwa lata temu.

Więc może Sława Baszyrow,
subtelny kazański poeta
zamieszkał już tam,
w krainie,
gdzie nie dochodzą moje listy.

Lecz nie o śmierć tu chodzi,
a o Izrael.

Równowaga

Niewiele wiem o śmierci...

Była tylko wstydliwie wyniesionym trupem.
Albo innym trupem,
który – zapomniany – rozplynął się
ze wstydu.

Najwyżej – pogrzebem, na który
nie mogłem pójść w dzinsach.

„Kolbą?... czy wyjąć bagnet?” –
spytała raz moich rąk.
Ale to było na niby,
a w ogóle dawno
i nieprawda.

Gdy w końcu uśmiechnęła się uprzejmie,
i tak nie było jej widać
spozza białych łóżek,
śmiesznych lampek,
rureczek,
drucików.

Niewiele wiem o śmierci.

...

Tyle, co o życiu.

Na śmierć sąsiada, murarza

Krzyczała w głos szafa, kiedy ją znosili.
Przesuwany tapczan szamotał się gniewnie.
Połamane krzesła stukaly co siły,
Wrzucone na pakę ciężarówki wielkiej.

Wynajęci ludzie zeskrobali ściany.
Strugali podłogę – przepadł nawet zapach.
Uzgodniono cenę, inny się wprowadzi,
Urządzi się znowu, znów zniknie po latach.

A rzeczy sąsiada długo będą gnily
Na miejskim śmietnisku, aż nic nie zostanie.
Jego radość, duma... wszystkie jego siły
Leżą na śmietniku. Co więc zmartwychwstanie?

Leśmian

Pewnie teraz biega. Tam i z powrotem biega po
starym, zakurzonym obłoku zirytowany drażniącym
poklepywaniem słońca. Nie ma śmierci – jest starość.
To piekło kochanków.

Pewnie teraz płacze. Przysiadł na tysięcznym którymś
piętrze, patrzy na swe chude nogi i ciężkie buciory
Chaplina. Bóg go woła – a on dojść nie może. Oto piekło
kalek.

Teraz pewnie zasnął. W gęstym lesie śmierci odnalazł
swoją bartłóg, swoją miękką komysz. Czasem nerwowo
odgarnia z twarzy pasemka babiego lata. Wszystko
zrozumieć – piekło symbolistów.

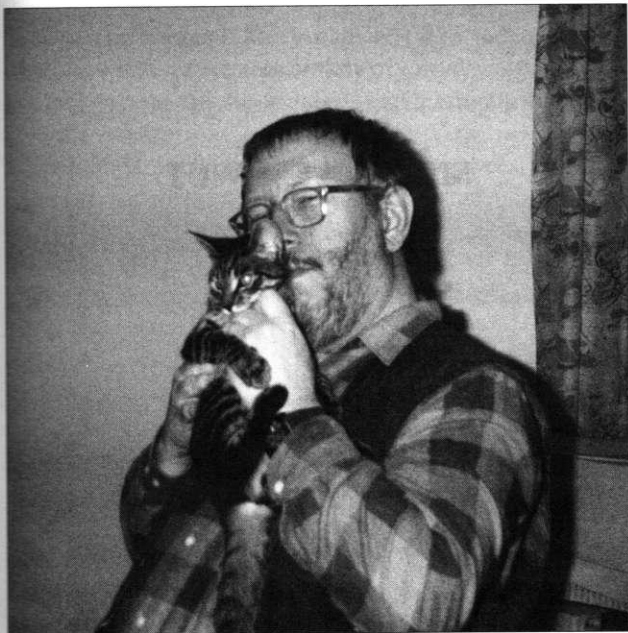
Poezja II

Znałem chłopca, który napisał tylko jeden wiersz:
„Już nie wiem, czy jestem umarły czy żywy....” i w chwilę
później przemienił się w lalkę – taką zmiętą, z wykrę-
conymi nogami.

Nie bądź poetą, jeśli nie umiesz tworzyć!

MRUCZAK I WUJ

(poemat prozą)



Manti

Podjadłszy i popiwszy wieczorem nad miarę, Wuj nie mógł zasnąć, a kiedy już mu się udało – nie trwało to długo. Punkt piąta wstał i na bosaka, szybkim krokiem udał się do łazienki. Obudzony już dawno, rześki Mruczak, leżąc na środku przedpokoju, obserwował wujowe peregrynacje.

Gdy wzmiankowanemu udało się wreszcie opuścić przybytek – kocię miauknęło przeciągle. Mrrr, mrr – rozległo się następnie. Mruczak z wyprężonym ogonem otarł się o bosc stopy Wuja i skutecznie na jedną z nich zapolował.

„Ania znowu nie dała mu jeść” – pomyślał wuj i powłócząc nogą, ciągnąc za sobą kota zagłębiającego mu w kostkę pazurki, zatoczył się w stronę lodówki.

Nim jednak otworzył drzwiczki, Mruczak już siedział na kuchennym blacie i – pomiaukując z cicha – popatrywał w stronę szafki z lekarstwami.

„A więc o co innego chodzi” – domyślił się Wuj i spytał kota: „Zabaweczkę?” – Mruczak na znak zgody polizał go po dłoni.

„Połączmy przyjemne z pożytecznym” – mruknął Wuj do siebie, pogrzebał w pudełku z lekami i wyciągnął opakowanie pigułek manti, które – by odczuć ulgę w żołądku – należało długo i starannie ssać. Wydłubawszy spod folii lekarstwo – włożył je do ust. Tymczasem zniecierpliwiony Mruczak coraz energiczniej dopominał się o opakowanie po tabletkach – ulubioną zabawkę.

„Skąd ja ci wezmę pustą folię” – zafrasował się Wuj... i mimochodem połknął wielką, zieloną pigułę. Zakrzuszył

się, chwycił butlę wody mineralnej i gwałtownie ją opróżnił.

Tak oto problem rozwiązał się sam. Mruczak miał już zabawkę – korek od pustej butelki.

Drabina

Będąc jeszcze małą, rozpiszczaną (ale już zębiastą i pazurzatą) kulką, ujawniał Mruczak alpinistyczne zamiłowania. Z tygodnia na tydzień lepiej mu szło. Wuj zauważał, że wspinające mu się po spodniach kocię dociera już nie do łydki, a do kolana, nie do kolana, a do pól uda, do pasa, pod pachę... I nadszedł na koniec ów dzień, gdy Mruczak po raz pierwszy znalazł się na wujowym ramieniu.

Stało się ono – rzecz można – ulubionym miejscem Mruczakowego stacjonowania, zwłaszcza kiedy Wuj witał gości. Gdy otwierały się drzwi, nie wzięty na ręce kotek umykał natychmiast z mieszkania, a wzięty – wspinał się wyżej i wygodnie usadowiał. Niekiedy przechodził później z ramienia na ramię, drapiąc Wuja po karku.

Dzięki stałemu treningowi Mruczak wchodził na Wuja wciąż szybciej i sprawniej, zwłaszcza gdy mógł zagłębić pazury w kamizelce. Sięgnął i wyżej, skacząc z wujowego karku na półki lub szafę.

Najbardziej upodobał sobie okap nad kuchenką.

„Wiesz, on chyba traktuje mnie przedmiotowo, jak drabinę” – rzekł Wuj do Cioci, po tym, jak Mruczak

cztery razy pod rząd wbiegł na okap po nim, myjącym naczynia i cięż drogą zbiegł na podłogę – „Trochę mnie to martwi”.

„Nie drabinę a słup” – odparła Ciocia.

Wujowi zrobiło się smutno, a Mruczak znów znalazł się na okapie. Jednak tym razem ułożył się na samym brzegu. Spojrzał na wujową łysinę, wyciągnął łapkę i przejechał po niej pazurkami.

„Może jestem dla niego słupem, ale z pięć lat nikt mnie nie pogłaskał” – pocieszył się Wuj.

Wieczór autorski

„Bo kaczory są kwaki, a koty mruczaki” – tłumaczył Wuj Mruczakowi, gdy schodzili z trzeciego piętra. To znaczy, dysząc i powłócząc przyciężkimi nogami, schodził Wuj, zaś Mruczak – delikatnie acz stanowczo przytrzymywany za ogon – wiercił się na Wujowym ramieniu.

Wykład genezy imienia wyraźnie nie robił wrażenia na kocie, podobnie jak przedtem liczne prośby i zaklęcia. „Kotku”, „Kitku”, „Kadio”, „Mruczek”, „Mruczuś”, „Ogonkowiec”, „Łapuszka” – sypały się często a głośno, gdy Wuj ścigał go po klatce schodowej. Mały uciekinier, owszem, pozwalał podejść do siebie dość blisko, ale jak tylko Wuj nachylał się nad nim – odbiegał parę schodków w górę.

Teraz jednak spacyfikowany kotek z każdą chwilą przybliżał się do drzwi mieszkania. Na całe szczęście. Bo właśnie rozległ się szczęk bramy i głośne szczekanie. Na klatkę wbiegał rotwailer sąsiadów... – No widzisz kocie,

że trzeba być grzecznym i nie uciekać z mieszkania? A gdyby tu rzeczywiście mieszkał pies, to co by było? – skomentował Wuj, przerwawszy na moment głośną lekturę tekstu, gdy razem z Mruczakiem leżeli w pokoju na dywanie – Ale ty nie chcesz tego zrozumieć...

Mruczak, zwinięty w kłębek przy Wujowej twarzy, lizał to łapę, to Wuja po nosie.

Empatia

Ranek był paskudny. Siąpił drobny deszcz, a zasnutie niebo nie wróżyło lepszej pogody.

„I jak tu dojechać do dworca?” – martwił się Wuj, już dobre trzy kwadransy czekając na przystanku, gdzieś na warszawskim przedmieściu – Pradze albo innym Bródnie. Nie było wiaty ani ławki, plecak ciążył, płaszcz przeciwdeszczowy przemakał. Jedyne Mruczak siedział spokojnie na wujowych rękach, nie przejmując się swym podróżnym ekwipunkiem – szelkami i smyczą.

Nadjechał w końcu tramwaj i Wuj, wsadziwszy Mruczaka na plecak, zaczął gramolić się do środka. Podciągając się na lewej ręce, z pomocą prawej podpierając laską, pokonał stopnie i opadł na miejsce dla inwalidów, którego wdzięcznie ustąpiła mu szalowa blondyna. Mruczak znalazł się na kolanach i nie minęło pięć minut, a Wuj zaczął drzemać. Jedyne od czasu do czasu otwierał oczy sprawdzając, czy za zamgloną szybą nie zamajaczy sylwetka Pałacu Kultury. Mruczak spał także i mruczał; oczu nie otwierał.

Po jakichś czterdziestu minutach przyjechali na miejsce. Wuj wysiadł (tym razem opuszczając się na prawej ręce wymacywał stopnie laską dzierzoną w lewicy; Mruczak znów siedział na plecaku) i postawił kotka na ziemi.

– „Przejdź się trochę. Naprawdę mi ciężko” – rzekł Wuj do Mruczaka, przywiązując smycz do jednego z rzemieni, których z plecaka zwisało niezwykle dużo i zagłębili się w labirynt korytarzy pod Dworcem Centralnym.

„Ależ ten kotek spokojny, nie wybiega wprzód, nie szarpie” – pomyślał zadowolony Wuj, gdy dochodzili do kas. Spojrzał za siebie – i zmartwił. Ciągnął za sobą pustą smycz. Mruczaka nie było.

Czując nagły przyptyw adrenaliny, nerwowo rozglądnął się po sali. Przy schodach na perony mignęło mu coś szarego. „Mruczuś. Mruczek!” – zawołał i prawie że pobiegł.

Mruczaka jednak przy schodach także nie było i Wuj ruszył na poszukiwania. Potykając się i postukując laską szedł jak najszybciej, ciągle przywołując kota. „Mruczunia, Mruczku” krzyczał coraz ciszej i – co tu dużo mówić – żałośliwiej. A dworcowe korytarze jakby wydłużały się.

I coraz więcej było w nich kotów. Biegały, miauczały, lub kottłowały się w grupach, jak ptaki obsiadły gzymsy i rozciągnięte nad szynami elektryczne przewody. Wokół gromadzili się ludzie, rzucając w nie czym popadło, łapiąc, wsadzając do worków... Jakiś wąsaty brunet w jasnym garniturze długą tyczką strącał koty na ziemię. Wuj ruszył na niego z laską...

Obudził się drżący i bynajmniej nie było mu do śmiechu. I wtedy rozległo się znajome mruczenie, a w polu widzenia pojawił się najpierw szary lebek, a później wyprężony ogonek. To Mruczak opuścił swój kącik w nogach łóżka, gdzie zwykle spał, pobiegł zobaczyć, co się stało i wrócił, gdzie leżał. Ale znów skoczył w stronę poduszek, przypadł do wujowego ramienia, przytulił się i energicznie, długo zaczął lizać zgięcie łokcia.

„Musiałeś zapłakać przez sen i kot się zaniepokoił” – stwierdziła Ciocia, kiedy później rozpatrywali to wydarzenie. Wuj miał jednak swoje wytłumaczenie i odrzekł: „Mruczak po prostu mnie zrozumiał”.

Ostatnie opowiadanie

Było ciemno i Wuj z trudem rozpoznawał kontury otoczenia. Prawdopodobnie leżał na trawie, wilgotnej nieco. Wokół rozmazywały się wydłużone kolumny a może pnie drzew. Poruszywszy rękami Wuj stwierdził najpierw, że je ma, a potem – że wśród trawy poniewierają się niewielkie, gładkie, półokrągłe kamienie.

Nie mógł jednak ustalić, dlaczego – zamiast siedzieć w pokoju za biurkiem i (przysypiając) spoglądać na ekran monitora – leży w ciemności, trochę zdezorientowany, a jest mu słabo. Pamiętał tylko, że ból pod mostkiem, który od dobrej godziny go męczył, wybuchł nagle i gwałtownie zachciało mu się pójść do ustępu.

„Dobiegłem?” – spytał się siebie i z niepokojem pomacał spodnie. Były suche.

W ten sposób przekonał się również, że ma nogi i że leży na boku. Do jego współprzebudzonej świadomości dotarł też fakt, że lekko boli go głowa. Pomyślał, że jeśli nie wstanie, to zacznie się migrena i postanowił się podnieść, a raczej od razu wstał. „Śnię?” – wybełkotał zdziwiony, po czym parę razy otworzył i zamknął oczy. Zwykle przecież czynność wstawania zajmowała mu trochę czasu. Trzeba było przewrócić się na brzuch, unieść na rękach a następnie zmusić do pracy opornie słuchające go uda, kolana i stopy. Teraz stanął od razu! I jeszcze przeszły mu mdłości!

Z wysokości swojego metr osiemdziesiąt zauważył więcej szczygółów. Kolumny wokół – rzeczywiście okazały się drzewami, rzadko rosnącymi jodłami i sosenkami. Leżące na ziemi, dość spore, półokrągłe kamienie połyskiwały bielą. Korzystając z niezwykłej lekkości ciała przykucnął przy jednym i wziął go do ręki. Spojrzał, wzdrygnął się i odrzucił to, co trzymał. Była to czaszka dziecka. Znów poczuł nagłą słabość i przysiadł na pieńku, który, tak jakoś nie wiadomo skąd, wyrósł obok niego.

Potem chyba zasnął, a drzemać musiał długo, bo teraz wokół szarzało, drzewa zyskały korony i było ich więcej. Obudził go szelest. Obrócił głowę i dostrzegł kota, który siedział niedaleko, w trawie. Mruczak wpatrywał się w niego połyskującymi oczami.

– „Chodź Mrusiu do Wuja” – wyszeptał Wuj i wyciągnął rękę.

– „Nie, to ty chodź do mnie.” – odpowiedział kot, co Wuj przyjął bez zdziwienia. – „Wiesz, czekałem na ciebie; kiedy tu spałeś, zdążyłem się nawet zestarzeć”.

Wuj powstał. Przeszedł wolno dwa kroki i wciąż wyciągając rękę ukląkł przy kocie. Mruczak potarł ją łebkiem i oparł się na niej przednimi łapkami. Następnie odbiegł, wrócił i odbiegł znowu. „Pokazujesz mi drogę” – mruknął Wuj. Wstał z klęczek i – wciąż czując lekkość ciała – ruszył za nim w stronę wstającego świtu.

Poeta i świat – język zdziwienia (*Postowie*)

Wydany w 1992 roku debiutancki tomik Wojciecha Kajtocha *Rozstrzelane kukły* zawiera intrygujący wstęp pt. *Wspomnienie o moim roku*. Ten tekst wyszedł spod pióra nie „jakiegoś” krytyka (jak niniejsze postowie spod mojego), ale został napisany przez samego „młodego” debiutanta (miał wtedy 34 lata). Ów wstęp ma więc raczej charakter autoprezentacji czy może wytłumaczenia – czemu i dlaczego piszę... Trzeba przyznać, że to ciekawy pomysł autorsko-edytorski, zwłaszcza w przypadku debiutu – tego typu tekst wymaga bowiem sporej autoświadomości, zdolności syntezy, a także pewnej odwagi, zwykle takie komentarze – wyznania pojawiają się w książkach kolejnych czy... ostatnich.

Tamten – dziś ponad dziesięcioletni – wstęp Kajtocha ciekawie ukazuje jego sylwetkę twórczą poprzez subiektywne doświadczenia młodości, kompleks pokoleniowy, swoistą nostalgię za minionym – wykorzystanym i niewykorzystanym – czasem największej fantazji i dynamiki, jakim jest młodość.

Patrzac genologicznie – to gawęda. Poeta z właściwą sobie flegmą, ale i dowcipem opowiada o historii swego „roku” – studentów filologii polskiej UJ (dyplom: 1980). Kadrowo-dydaktyczne ciekawostki przeplatają się z towarzyskimi anegdotami, np. o zasłabnięciu pewnego

kolegi na egzaminie, o jądaniu obiadów z „prawdziwymi” literatami przez innego, czy o tajemnicach lewicowego klubu „Kuznica”. Ale z za pierwszej, obyczajowej i anegdotycznej, warstwy gawędy przeziara inna: dramatu pokoleniowego lub – co jest ściśle związane z tym pierwszym – politycznego. Jako punkt zwrotny Kajtoch szeroko opisuje wydarzenia po śmierci Pyjasa oraz powstawanie niezależnych związków studenckich.

Autor *Doby* jako początkujący poeta przeżywa w latach 1976-80 swoisty głód pokolenia, widzi zbliżające się zmiany, także polityczne, nie wie, jak się zachować. Mitem jest silne pokolenie Nowej Fali. Mające miejsce w 1976 „wyciszenie” tej generacji zbiega się z kolei z umocnieniem się kolejnego pokolenia – Nowej Prywatności (Nowych Roczników). Kajtoch – nieco młodszy od niej, a sporo młodszy od Nowej Fali – trochę zazdrości: „nauka nie zajmowała nas bez reszty; w pewnym okresie jedną z głównych naszych namiętności stała się poezja. Nie stworzyliśmy co prawda poetyckiej grupy (a propos: grupa „My”¹ – Maciej Chrzanowski, Andrzej Dróżdź, Andrzej Kaliszewski, Janusz Lenczowski, Krzysztof Lisowski – opuściła „Gołębnik”² już za naszej w nim bytności), niemniej pisanie wierszy stało się prawdziwie modne. Niekwestionowanym „pierwszym pośród równych” był Maciej Piotr Prus. Już w 1978 wydał książkę. W przeciwieństwie do opowiadającej się za Nową Prywatnością większość, Maciek opowiadał

¹ Jedna z dwóch – obok gdańskiej „Wspólności” – głównych grup pokolenia Nowej Prywatności (przyp. A.K.).

² Żargonowa nazwa Instytutu Filologii Polskiej UJ, mieszczącego się przy ulicy Gołębiej (przyp. A.K.).

się za grupą „Teraz” i Nową Falą”³. Z perspektywy ponad dwudziestu lat owa „zazdrość” nieco zdumiewa, a na pewno skłania do refleksji. Po pierwsze to Nowa Prywatność okazała się pokoleniem na swój sposób tragicznym czy przegranym. Jak napisał ostatnio Stanisław Burkot: „Poezja Nowej Prywatności przyniosła znaczące w sensie artystycznym rozpoznanie niebezpieczeństw upolitycznienia poezji, ale nowe propozycje – negowanie sensu samej sztuki, ograniczenie jej możliwości do samopoznania twórców, w zderzeniu z burzliwymi wydarzeniami traciły wszelki sens. Kruchą odrębność następców [Nowej Fali – przyp. A.K.] unicestwiły wydarzenia z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych”⁴. To prawda. Ale moim zdaniem słabość pokolenia wynikała nie tylko z braku wyraźnego przeżycia pokoleniowego (a było to – w przeciwieństwie do Nowej Fali – tzw. pokolenie „słabe”), ale z programu, odwołującego się do dokonań „Współczesności”, a więc zakładającego artystyczno-ideowy pluralizm; takie pokolenia istnieją na dłuższą metę tylko poprzez twórczość i osobowość najwybitniejszych, przebojowych jednostek, a nie zawsze takie się pojawiają... „Współczesność” je miała...

Czy „frustracja” Kajtocha bierze się stąd, iż szedł w ariergardzie Nowej Prywatności, przegrywającego właśnie pokolenia niewiele starszych, ale u progu lat 80. już obrosłych w literackie piórka kolegów? Może.

³ Wojciech Kajtoch, Wspomnienie o moim roku, [w:] Rozstrzelane kukły, Kraków 1992, s. 6.

⁴ Stanisław Burkot, Literatura polska w latach 1939-1999, Warszawa 2002, s. 223.

By nawiązać do atmosfery Kajtochowych *Wspomnień...* wygrzebuję z pamięci pewien wieczór. Oto scena niemal symboliczna. Pałac „Pod Baranami”, sala zwana bodaj „Lustrzana”, jakiś zorganizowany z wielką pompą konkurs czy meeting poetycki. Pisarze starsi i młodszy czytają swoje wiersze. Publiczności dużo, także różnych oficjeli od kultury. My, a raczej poeci z grupy „My”, stanowimy przepisowy powiew młodości. Mamy też regulaminowe wówczas długie włosy i niezbyt staranne acz wystudowane w nonszalancji ubiory. I oto prezenter zapowiada młodego zdolnego licealistę. Wychodzi chłopiec – o zgrozo! – w granatowym garniturze oraz białej chyba koszuli. Czyta wiersz, a my patrzymy z wyższością studentów – autorów wielu publikacji... Tym chłopcem był Wojciech Kajtoch...

W poświęconej Nowej Prywatności książce *Ósma dekada* Andrzej K. Waśkiewicz tak podsumowuje genealogię pokolenia: „w drugim pięcioleciu lat siedemdziesiątych najbardziej produktywnie były roczniki 1950-1955; debiutanci urodzeni w następnym pięcioleciu [...] w procesie kształtowania się programów odegrali rolę drugoplanową”⁵. Kajtoch jest urodzony właśnie w 1957...

Pamiętajmy wszakże, że to w tych latach, które Kajtoch przywołuje jako okres swej literackiej inicjacji, zakończyła się pewna literacka epoka, i to zakończyła dla wszystkich żyjących generacji. Zaczęły odchodzić w niebyt: państwowy mecenat, urok solidnych, reno-

⁵ Andrzej K. Waśkiewicz, *Ósma dekada. O świadomości poetyckiej „Nowych Roczników”*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1982, s. 58.

mowanych wydawnictw kreujących debiutantów, wymierny rynek recenzencki, księgarski i krytyczno-literacki. Także powstałe w latach 80. dwa „opozycyjne” związki pisarskie nie były już „tamtych” ZLP: nie nobilitowały, niewiele mogły dać, „organizacyjnie”, jak i materialnie. Zastąpił je model „społeczeństwa alternatywnego” z jednej, a „życia oficjalnego” z drugiej strony.

Lata 80. to także rzadki, ale znany w historii literatury przypadek renesansu z pozoru już przebrzmiałego pokolenia, w tym wypadku Nowej Fali: odradza się ona nie tylko za sprawą wydarzeń politycznych i powrotu jej twórców, ale entuzjazmu „epigonów” – rówieśników Nowej Prywatności, Kajtocha i jeszcze młodszych od niego poetów. (Kazimierz Wyka w *Pokoleniach literackich* nazywa takie zjawisko „entelechią”⁶.) Nasz autor nie podejmuje jednakże tego wyzwania (co próbuje tłumaczyć pośrednio we wspomnianym wstępie do swego debiutu). Nie pasuje mu poetyka, może i inne pozaliterackie konteksty, a może na przeszkodzie stoi specyficzna konstrukcja psychiczna: czy nieprzypadkowo autentycznymi przyjaciółmi Kajtocha są znane ze skrytości i niezależności – koty?

Jako krytyk zobowiązany jestem jakoś podsumować te generacyjne dylematy. Otóż uważam, że autor *Rozstrzelanych kukieł* jest bliski swym rodowodem artystycznym, jak i praktyką poetycką, tyleż Nowej Prywatności, co kolejnej generacji, zwanej „pokoleniem

⁶ Kazimierz Wyka, *Pokolenia literackie*, Kraków 1977. Rozdz. Problematyka pokoleń literackich.

60" lub „pokoleniem BruLionu”. W czym nie ma zresztą większej sprzeczności: na rolę Nowej Prywatności w antycypowaniu polskiego postmodernizmu zwracano już nieraz uwagę.

Tom *Rozstrzelane kukły* wydany został późno (1992), zważywszy, że zawiera wiersze głównie z lat 1977–78. Tymczasem ich autor zaistniał jako krytyk, badacz literatury, autor rozprawy o Strugackich, nauczyciel, pracownik nauki (doktorat – 1991), prasoznawca. Czy więc tomik wydał tylko w ramach porządkowania papierów?

Rozstrzelane kukły mają owszem typowe cechy tomu debiutanckiego. Widać amorficzność stylistyczną, pewien autotematyzm. Jednak zwraca uwagę wyraźne zamiłowanie do wiersza regularnego, sylabotonicznego i tonicznego z jednej, zaś do form krótkich, epigramatycznych z drugiej strony. W tematyce również zauważa się dwutorowość. Pierwszy cykl (*Wiersze*) zawiera typową dla końca lat 70. dykcję quasi-politycznego szyfru: obrazy ulicy i społecznych rytuałów, ilustracje pojęć takich jak bohater, prawda, godło. Ale z tych pseudonimizacji wyłania się ów podmiot zdezoriontowany, szukający swego miejsca, tęskniący za odebrany mu patosem historii, jak i prawem do indywidualności:

[...]

Naprawdę nie wiem cośmy

Zrobili

Tej wielkiej pustce wiszącej nad nami

Że pozdzierała z nas wszystkie pancerze

Wyrwała tarcze
po prostu zmieszała z błotem
I z lwów strąceni
Musimy stapać po brudnym bajorze czasu
a częściej
Wyjąc jak psy
Biegać
po czystych korytarzach wieczności

(Wypód bohatera współczesnego)

Pozostałe cykle (*Widzenia, Piosenki*) zawierają teksty bardziej zagęszczone, chętnie operuje tu poeta symbolem, kulturowym mitem czy stylizacją – to te wiersze najbardziej zbliżają go do estetyki Nowej Prywatności.

I oto teraz, po przeszło dziesięciu latach, otrzymujemy drugi tomik Kajtocha: *Dobę*. Dziwny to przypadek. Bowiem o ile *Rozstrzelane kukły* były poetyckim debiutem (choć spóźnionym), próbą możliwości dopiero się otwierających, o tyle ów drugi tom przypomina swą ideą zamknięcie, podsumowanie. Bo właśnie parabolą życia jest chyba tytułowa „doba”. Bardzo precyzyjnie skomponowany tom otwiera wiersz *Poeta i świat*, w którym wskazane zostają trzy fundamenty bytu: narodziny, miłość i śmierć. Funkcją ich związku z indywidualną egzystencją, jak i twórczością, jest język zdziwienia. To on stanowi jedyną pewną egzegezę bytu.

Tego zdaje się dowodzić cały tom, skromny i mądry zarazem. Podzielony został (w części *stricte* poetyckiej, bo dołączona jest też proza, o czym potem) na trzy cykle symbolizujące etapy życia: poranek, południe i noc.

Poranek składa się z erotyków czy raczej wierszy o miłości. Poeta wykazuje sporą pomysłowość i wrażliwość w eksplorowaniu tegoż tematu. Miłość to domena młodości, pierwszych uniesień, dziewczęcości, ale i klęski; to też przyjaźń między panem i jego kotem; to także – traktowany zapewne jako symbol – związek pary gołębi (*Miłość II*). Wariantowość tematu miłosnego realizowana jest przez zróżnicowaną formę. Mamy więc najbardziej osobisty, ale i retoryczny liryk *Umarłe miłości* obok zapisu lirycznych sytuacji (*Poezja*), wierszy symbolicznych (*Świeca*), prób groteski (*Przestroga tankietce*) czy epigramatu (*Miłość II*).

Część druga – *Południe* – to poetycka ikona wierzchołka życia, czasu największej aktywności, pracy, realizowanych lub tylko traconych nadziei. Czytając ów fragment zdajemy sobie sprawę z jego okazjonalności – są to zapewne dobrane tu istniejące już wiersze, a nie jakieś komplementarne oglądy, wyczerpujące temat w sensie werystycznym czy intelektualnym. Z lektury cyklu wyłania się wszakże człowiek – „mieszkaniec lotnych piasków” (*Samotny i niepewny*) – szukający, zaskakiwany codziennością, przez którą przemawia transcendencja. Kajtoch używa tu znów techniki lirycznych sytuacji: a to podglądanie kąpiących się żołnierzy, a to metaforyka podsunięta przez obuwniczy sklep, czy reminiscencje niespełnienia oparte na topice *Księgi Jeremiasza*.

Czas chyli się – w wymiarze symbolicznym – ku wieczorowi. Nadchodzi „martwa godzina” – *Noc* – i tak zatytułowany jest ostatni cykl tomu. *Noc* to powiew śmierci, czas podsumowań, pożegnań. Te siedem wierszy

to głównie epitafia. Leśmianowi, sąsiadowi-murarzowi, anonimowemu Żydowi – ofierze holocaustu, kazańskiemu poecie Baszyrowowi; śle nasz autor bolesne przesłanie w liryku *Równowaga*: „Niewiele wiem o śmierci /.../ Tyle, co o życiu”.

Nie da się pominąć nasuwającego się tu skojarzenia: *Doba* w wymiarze intertekstualnym łączy się z Mickiewiczowskim wierszem-płaczem ***(*polaty się tzy...*). Kajtochowy tom przechodzi wszak od razu od Południa do Nocy. Czegoś tu brakuje, chyba właśnie Popołudnia – owego „wieku męskiego” (u Mickiewicza – „wieku klęski”), w którym *Doba* jest właśnie stworzona... A może owa luka ma być najważniejszym przesłaniem tomu?

Nie wiem, jak najlepiej zreasumować moje spotkanie z tymi wierszami. Tomik ujmuje jakąś wewnętrzną szczerością, tonem cieplej niezgody na paradoksy życia, tego życia w wymiarze ponadpolitycznym, ponadspołecznym, ponadhistorycznym, a więc w wymiarze zwykłego, wielkiego swoją małością „ja”. Intryguje podczas lektury dziwna różnorodność stylistyczna: Kajtoch ma znów słabość do klasycznej rymowanej strofy, ale i potrafi stosować prozę poetycką, wiersz postawangardowy, aforyzm.

Nie byłby ten tom tym, czym jest, gdyby nie dołączona proza (poemat prozą) pt. *Mruczek i Wuj* – piękna opowieść o przyjaźni człowieka i zwierzęcia. Kajtoch daje się tu poznać jako subtelny znawca kocich obyczajów i psychiki, kronikarz owych relacji, które humanizmowi nadają chyba wyższy niż ten podstawowy ludzko-ludzki wymiar. Symbolicznie ukazana, acz

zarazem przejmująca śmierć Wuja, na którego czeka u progu wieczności nie święty Piotr, ale jego wcześniej zmarły Mruczek, pokazujący drogę „w stronę wstającego świtu” – wzrusza nas, a zarazem wskazuje na przesłanie słynnej Leśmianowskiej *Urszuli Kochanowskiej*.

Drugi tom poetycki Wojciecha Kajtocha jest książką, przy lekturze której nie myślimy tylko o poezji. Dotyka ona naszych tajonych lęków i goryczy, przypomina o pielęgnowanych nocą snach o szczęściu – tym małym i tym nieosiągalnym. A temu sztuka służy przede wszystkim.

Marzec 2003

Andrzej Kaliszewski

SPIS TREŚCI

Poeta i świat 5

DOBA

Poranek

„...z popielnika iskiereczka mruga...”	9
Uczennica	10
Komplement	11
Przestroga tankietce	12
Świeca	13
Umarłe miłości	14
Poezja	16
Miłość	17
Kot i choinka	18
Miłość II	19

Południe

Kolejny dzień	21
Poeta w sklepie obuwniczym	22
Narodziny demokracji	23
Salon	24
Kolęda diabła	25
Kąpiel wojskowa	26
Wieczorne picie herbaty	27
Stróżowie i ogrodnicy	28
Samotny i niepewny	29
Jeremiasz	30
Rozmowa z dzieckiem	31
Myśli	32

Noc

Barska	33
Ballada o kości ludzkiej do nikogo nie należącej	35
Sen	36
Równowaga	37
Na śmierć sąsiada, murarza	38
Leśmian	39
Poezja II	40

MRUCZAK I WUJ (*poemat prozą*)

Manti	43
Drabina	44
Wieczór autorski	45
Empatia	46
Ostatnie opowiadanie	48

Andrzej Kaliszewski:

Poeta i świat – język zdziwienia (<i>Postowie</i>)	51
--	----

Wojciech Kajtoch

Urodził się w 1957 roku w Krakowie. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim i Instytut Literacki im. Gorkiego w Moskwie. Doktor filologii rosyjskiej – monografię „Bracia Strugacy (zarys twórczości)” wydał w 1993 r. krakowski Universitas.

Jest także autorem książek: „Rozstrzelane kukły”, Kraków 1992 (wiersze); „Pisarze wobec ‘innych światów’ swoich epok...”, Kraków 1994; „Presymbolizm, symbolizm, neosymbolizm... Rzecz o czytaniu wierszy”, Kraków 1996; „Świat prasy alternatywnej w zwierciadle jej słownictwa”, Kraków 1999.

Publikuje artykuły naukowe z dziedziny historii literatury polskiej i rosyjskiej XX wieku oraz prasoznawczego językoznawstwa. Niegdyś intensywnie uprawiał krytykę literacką: w latach siedemdziesiątych – w „Studencie”, osiemdziesiątych – w „Życiu Literackim” i „Piśmie Literacko-Artystycznym”, dziewięćdziesiątych – w „Końcu Wieku”. Obecnie pisuje w „Zeszytach Prasoznawczych” i lubelskiej „Ulicy Wszystkich Świętych”.

Był wychowawcą w internacie, starszym asystentem IBL PAN, dziewięć lat uczył polskiego w krakowskim X LO. Teraz pracuje w Ośrodku Badań Prasoznawczych Uniwersytetu Jagiellońskiego (Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej).

ISBN: 83-89186-52-7